

Wakacje z mułłami – cz. 4

12 października 2007

W pokoju mamy telewizor i choć nie rozumiemy ani słowa, ciekawi jesteśmy co też tutejsza telewizja oferuje widzom, więc włączamy go dość często. Jest sześć kanałów, z których jeden jest całkowicie religijny, a wszystkie pozostałe coraz to przerywają program planszami z widokami pięknych kwiatów, mieniących się w słońcu wodospadów, sielankowych łąk i lasów, przy akompaniamencie relaksującej muzyki i wersetów Koranu. Jest też sporo reklam w stylu zachodnim, z tą jednak różnicą, że szampony do włosów mogą być reklamowane tylko przez małe dziewczynki, jako że dorosłe kobiety muszą zawsze mieć zakryte włosy. Są i zachodnie filmy z fatalnym dubbingiem, w których występują normalnie ubrane kobiety, co po paru dniach tutaj robi na nas dziwne wrażenie. Przeważa drugorzędne amerykańskie badziewie, zdominowane przez strzelaniny, bójki, eksplozje i pościgi samochodowe. Krew leje się obficie bez przerwy, natomiast najdrobniejsze intymności damsko-męskie zostały skrupulatnie wycięte. Może to nawet zamierzone, aby pokazać ludziom agresywność i okrucieństwo ludzi Zachodu. Rodzima twórczość to opery mydlane i różne niewinne komedyjki, z zachowaniem wymagań religijnych i obyczajowych, nawet gdy nie ma to wielkiego sensu.

Przez biuro podróży załatwiliśmy sobie wycieczkę do ruin Persepolis – samochód z przewodnikiem/kierowcą. Rano podczas śniadania podszedł do nas starszy pan, który przedstawił się jako Mr Ali. Wsiedliśmy do jego auta, dosyć nowoczesnego Peugot'a i ruszyliśmy w drogę. Mr Ali na wstępie opowiedział nam trochę o sobie, a potem opisywał mijane przydrożne atrakcje. Okazało się jest emerytowanym wojskowym, za Szacha pracował z Amerykanami jako inżynier od nawigacji w samolotach bojowych. Po rewolucji islamskiej brał udział w wojnie z Irakiem, aż wreszcie poszedł na emeryturę, które jest jednak tak marna, że musi sobie dorabiać wożąc i oprowadzając

turystów i studiując historię, która jest jego hobby. Świetnie nam się z nim rozmawia – mówi bardzo dobrze po angielsku, ma dużo wiedzy, erudycji i oświecone poglądy na politykę i religię. Poza miastem wjechaliśmy w skaliste, nagie jak okiem sięgnąć góry. Rozległe dna dolin natomiast płaskie, irygowane i zasiane zbożem. Na szosie duże korki, noworoczne świętowanie dobiega końca i ludzie powoli zaczynają wracać do domu. Po godzinie jazdy wjechaliśmy na ogromny parking wypchany po brzegi samochodami i autobusami. Żadnych zatok, wolna amerykanka w wyścigu o miejsce. Między zaparkowanymi autami jacyś przedsiębiorczy nomadzi urządzają płatne przejażdżki na swych małych konikach. Pieszko doszliśmy do ruin. Persepolis położone jest na górskim stoku. W piątym wieku przed naszą erą przez siedem lat kuto i nadbudowywano tu zbocze by wyrównać platformę pod kompleks świątyni, pałaców i skarbców. Nie było to miasto, ani stolica, ale głównie świątynia Zoroastrian i miejsce, gdzie pod boską opieką przechowywany był skarbiec imperium Achemenidów. Raz do roku, w No Ruz, zjeżdżał tu dwór królewski i po odprawieniu obrzędów na cześć Ahury Mazdy, król królów przyjmował hołdy, daniny i podarki od wszystkich ludów swego imperium, od Indusu do Morza Egejskiego i od Samarkandy do Egiptu. Las wspaniale rzeźbionych, 40-metrowych kamiennych kolumn podpierał cedrowe, bogato malowane i złocone stropy i dachy. Największa sala audiencyjna mieściła do 10 tys ludzi. Niewiele z tego splendoru i bogactwa zostało – trochę kikutów kolumn, trochę kapiteli w kształcie fantastycznych zwierząt, kilka bogato rzeźbionych portali, w większości obłupanych przez fanatyków islamskich i, na szczęście, ozdobione wspaniałymi reliefami schody Apadany, po których delegacje poddanych wchodziły do sali audiencji by złożyć hołd szachowi. Aleksander Wielki po podboju Persji złupił skarbiec, zgodnie z przekazami wywożąc jego zawartość na 3 tysiącach mułów i wielbłądów, a kompleks spalił, podobno po pijanemu, podczas biesiady.

Stąpając śladami Dariusza, Kserksesa i Aleksandra Wielkiego wspięliśmy się po doskonale zachowanych schodach wejściowych.

Byliśmy jedynymi zachodnimi turystami wśród tłumów Persów, którzy spoglądali na nas z życzliwym zainteresowaniem i przyjaźnie nas zagadywali. Krzysiek wypstrykał niemalże cały film slajdów upamiętniając wszystkie atrakcje z różnych stron i z zapałem historyka dyskutował z Alim o dziejach i architekturze. Dla mnie, jako że historią się nie pasjonuję, to tylko ruiny, imponujące co prawda, zwłaszcza kiedy wyobraziłam sobie jak to musiało kiedyś wyglądać w czasach świetności, ale nie warte roztrząsania każdego szczegółu na dziesiątą stronę.

Potem pojechaliśmy do Nekropolis, królewskich grobowców wykutych w skałach. Niestety nie da się do nich wejść, gdyż komory grobowe wykute są w ogromnym klifie skalnym bardzo wysoko ponad ziemią i nie ma do nich dostępu.

Przepiękne płaskorzeźby i napisy klinowe sławiące zmarłych władców ozdabiają fronton każdej groty. W komorach kiedyś spoczywały oczyszczone przez sępy (zgodnie z nakazami religii zoroastriańskiej) szkielety. Niżej, tuż nad ziemią, królowie 3-go imperium, Sasanidzi, dodali reliefy sławiące ich potęgę, największy pokazujący wziętego do niewoli cesarza rzymskiego Waleriana klęczącego pokornie u kopyt konia króla Szapura.

Pośrodku doliny, na sztucznej wysepce w wykutej w skałach sadzawce jest „wieża milczenia” (na szczycie wykładano zwłoki dla sępów), czy też świątynia ognia.

W drodze powrotnej Ali pokazywał nam szereg baz o militarnym charakterze, po obu stronach szosy:

„To koszary Gwardii Republikańskiej, formacji paramilitarnej na której opierają się rządy mułłów. Każde większe miasto jest nimi otoczone.”

Służą w nich – wedle Alego – 1/10 ludności kraju. Chyba przesadził, ale na pewno jest tej Gwardii mnóstwo, głównie młodziaków ze wsi i małych miasteczek, dla których nie ma pracy i miejsca ani w dużych miastach (bezrobocie w Iranie

sięga ponad 20%), ani na przeludnionej wsi. W Gwardii dostają broń, mundur, pryczę, jeść i trochę przeszkolenia wojskowego. W zamian za to piorą im mózgi przy pomocy Koranu i pism religijnych autorstwa Chomeiniego. Najzdolniejsi i najwierniejsi trafiają z czasem do policji religijnej, tajnej policji, armii, czy wywiadu. Widać było, że temat pasjonuje Mr Alego, bo z ożywieniem przeszedł z Gwardii na całokształt irańskich układów:

„ Żyjemy w najbardziej zwariowanym kraju na ziemi. Mamy ogromne złoża ropy naftowej i gazu ziemnego, mnóstwo innych bogactw naturalnych, żyzne gleby uprawne, dobre szkoły i uniwersytety, atrakcje turystyczne, a kraj jest taki biedny. Dobrze wiedzie się tylko Mułłom i ich słuźalcom. Ci mają wielkie brzuchy, luksusowe samochody, piękne kobiety i grube konta bankowe w Szwajcarii. Kradną jak najęci i doją kraj, a nikt ich nie może rozliczyć, bo sa absolutnie ponad wszystkimi prawami. Przed krytyką zasłaniają się religią. Jesli tylko ktoś publicznie się wychyli z protestem, idzie siedzieć albo płaci życiem!”

Tak to Mr Ali uprzyjemniał nam drogę opisem życia i polityki w Iranie.

Miła wycieczka, choć dość męcząca ze względu na upały. Było już dobrze po południu kiedy wreszcie znaleźliśmy czas na lunch w pobliżu hotelu, w małym „kebabi”, który wyglądał na prawdziwą mordownię. Jadają tam chyba tylko najbiedniejsi. Jedzenie okazało się jednak obfite i smaczne, kilka ogromnych płaskich placków chlebowych z mielonymi szaszłykami baraniami, grilowane pomidory, świeża surowa cebula do pogryzania i coca cola do popicia.

W Agencji Turystycznej próbujemy załatwić przejazd z Shiraz do Kerman, następnego miasta na naszej trasie. Niestety okazuje się że wszystkie bilety na autobusy jadące w tamtym kierunku wysprzedane są na następne cztery dni. Jedyne co mogą nam załatwić to prywatnego kierowcę z autem za US \$80.

Wymieniliśmy następną setkę, w pobliskiej kawiarence internetowej zarejestrowaliśmy nasz pobyt przez Internet w australijskiej ambasadzie. Jest to oficjalnie zalecane, bo przecież jesteśmy w Iranie gdzie podobno wszystko może się zdarzyć. Zapłaciliśmy za nasz hotel, zrobiliśmy rozliczenie budżetu i wyszło nam że pieniądze idą nam o wiele szybiej niż planowaliśmy. Gdyby tak miało być dalej, musielibyśmy zacisnąć pasa, bo niestety jesteśmy tutaj zupełnie odcięci od świata i nie mamy dostępu do naszego konta. Bankomatów jest wszędzie pełno, ale działają tylko dla tutejszych. To wina tych głupich Jankesów i ich embargo. Karta Visa też bezużyteczna, turyści skazani są na gotówkę. Pieniądze na podróż i pobyt, w dolarach US i Euro przywieźliśmy ze sobą i musimy wszędzie z sobą nosić, skrzętnie ukryte w specjalnym portfelu (Krzysiek) i woreczku na szyję (ja). Przewodnik Lonely Planet jest sprzed 3 lat, inflacja spora, wszystkie podane w nim ceny dawno nieaktualne. Na razie nie ma paniki, wygląda jednak na to, że trzeba będzie uważać z wydatkami aby nam wystarczyło.

– W razie czego zawsze możemy wyjechać stąd wcześniej, jeśli już przyjdzie do najgorszego pocieszamy się wzajemnie.

Dzisiaj spróbowaliśmy tutejszych ciastek. Są przepyszne i zupełnie inne niż europejskie. Wieczorem Krzysiek uparł się aby na obiado-kolację pójść do odległej restauracji, w nowej części miasta, polecanej przez przewodnik. Z tego co dotąd zauważyłam wszystkie serwują mniej więcej to samo czyli różne odmiany kebabu, ale postanowiliśmy sprawdzić. Po opuszczeniu głównej ulicy weszliśmy w sieć zaułków, pełnych zamkniętych na 4 spusty domów i pustych o tej porze urzędów. Było tam dosyć ciemno, większość ulicznych latarni nie działała i robiło nam się trochę nieswojo. Wokół pełno tajemniczych cieni, grupy jakichś podejrzanych osobników, parę z rzadka przejeżdżących aut. Idealne miejsce do rozboju bo przecież nawet po ciemku widać że jesteśmy turystami, szczególnie Krzysiek z plecaczkiem na grzbiecie. W tym akurat przypadku ja w mojej czarnej kapocie rzucałam się o wiele mniej w oczy na ciemnej

ulicy. Moja wyobraźnia działa, a Krzysiek jak zawsze twierdzi, że panikuję, ale też przyśpiesza kroku. Wkrótce doszliśmy do bulwaru nad rzeką i mostu wiodącego do nowej części miasta i odetchnęliśmy z ulgą. Restauracja była w bocznej ulicy i musieliśmy rozpytywać się o drogę, na szczęście natknęliśmy się na bardzo przyjaznego właściciela jakiejś agencji turystycznej, mówiącego dobrze po angielsku, który zaprowadził nas na miejsce. W restauracji oczywiście zjedliśmy zwyczajny kebab z kury jak co noc. Wróciliśmy bardzo późno, a jutro o siódmej trzydzieści jedziemy na następną wycieczkę, do Firuz Abad, obejrzeć ruiny płacu króla Ardeszira z trzeciego wieku naszej ery.

Mr Ali zjawił się zanim jeszcze zdążyliśmy zjeść śniadanie. Dzisiejsza wyprawa to około sto kilometrowa podróż na południe od Shiraz. Zaraz za miastem wjechaliśmy w ogromne góry wysokości polskich Tatr. Chwilami miałam wrażenie że patrzę na nie z Gubałówki, ale iluzja szybko się rozwiązała, w przeciwieństwie do polskich gór te są zupełnie prawie gołe, z niskopienną, półpustynną roślinnością w niektórych wąwozach. Droga była doskonała, szeroka, dobrze oznakowana i utrzymana. Wiła się dnem głębokiego kanionu nad na wpół wychniętą rzeką. Mr Ali biadał, że od kilku lat zimowe deszcze zawodzą i jest susza. Jak nam powiedział, jeszcze 50 lat temu kroczyły wtedy tylko wielbłądzie karawany w drodze do portów Zatoki Perskiej. Jego ojciec, jako młody chłopiec, podróżował pieszo z taką karawaną z Szirazu do Meszhedu, 1200 km – 2 miesiące w jedną stronę. Szlaki karawanowe były bardzo niebezpieczne, zagrożone przez rozbójników, tak że każda karawana musiała mieć uzbrojoną eskortę.

Po drodze widzieliśmy kilka zrujnowanych „karawan-serajów”, ufortyfikowanych postojów, które podobnie jak dzisiejsze hotele dawały w nocy odpoczynek i ochronę ludziom i zwierzętom. Rozmieszczone one były mniej więcej o dzień marszu jeden od drugiego i zawsze w pobliżu źródła wody, lub studni, co było konieczne na pustyni.

Miejscami góry rozstępowały się tworząc płaskodenne doliny, gdzie wokół drogi rozciągały się pola uprawne zasiane pszenicą. Cały areał pocięty był gęsto rowkami doprowadzającymi wodę, jako, że roczny opad wynosi tu tylko 350 mm. Mijaliśmy koczowiska nomadów. Mieszkają w namiotach i utrzymują się z hodowli kóz i owiec. Ponieważ niższe partie gór gdzie wypasają swoje zwierzęta są niemalże pozbawione roślinności, stado musi być ciągle w ruchu. Co pare dni zwijają obóz i wędrują dalej, mężczyźni pędząc zwierzęta poboczem drogi, podczas gdy kobiety jadą na osiołkach z całym pozostałym dobytkiem. Zupełnie nie byliśmy w stanie pojąć jak tak duże stada, po kilkadziesiąt sztuk, są w stanie maszerować w tak idealnym porządku, nie płosząc się aut, ani nie wybiegając na drogę ani nie rzucając się na soczyste uprawy na polach. Zupełna enigma. Znaczna część nomadów poszła z duchem czasu przynajmniej o tyle, że przewożą swoje zwierzęta na dłuższych trasach ciężarówkami, które, naładowane po brzegi kłopotami, ludźmi, baranami i kozami, wloką się 40 km/g w kłębach spalin, blokując ruch na górskich serpentynach.

Ruiny pałacu okazały się ciekawe, choć na miejscu nie było prawie żadnej informacji. Mogliśmy jednak polegać na Alim, który był absolutną skarbnicą wiedzy i odpowiadał wyczerpująco na nasze pytania. Mury wznoszą się w szczerym polu, na skraju rozległych ruin starodawnego miasta, z dala od najbliższego ludzkiego osiedla, nad źródłem, albo raczej podziemną rzeką wypływającą w tym miejscu na powierzchnię. Prócz nas nie było tam prawie żadnych innych zwiedzających. Pałac zachował się całkiem nieźle, kilka wielkich sal z imponującymi kopułami, resztkami ozdobnych tynków na ścianach i ogromnym liwanem – sklepioną loggią otwartą na łąki nad źródłem, gdzie kiedyś rozciągał się wspaniały ogród królewski.

Koniec części czwartej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)